

BARBARA RYBAŁTOWSKA

CO TO ZA CZASY

SAGA
„BEZ POŻEGNANIA”
TOM VII


AXIS MUNDI
WYDAWNICTWO

BARBARA RYBAŁTOWSKA

CO TO ZA CZASY

SAGA
„BEZ POŻEGNANIA”
TOM VII



[Kup książkę](#)

AXIS MUNDI

PROJEKT OKŁADKI: Natalia Harańczyk

SKŁAD: Positive Studio

ZDJĘCIE AUTORKI: Marta Szelichowska

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA I KOREKTA: Elżbieta Makowska

KOREKTA: Iwona Hardej

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

WYDANIE II

ISBN: 978-83-8394-899-7

EAN: 9788383948997

ISBN E-BOOK: 978-83-8394-900-0

Copyright © by Barbara Rybałtowska

Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



Na zlecenie Woblink

[Kup książkę](#)



woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Błaszczuk

Spis treści

[Rozdział pierwszy.](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty.](#)

[Rozdział piąty.](#)

[Rozdział szósty.](#)

[Rozdział siódmy.](#)

[Rozdział ósmy.](#)

[Rozdział dziewiąty.](#)

[Rozdział dziesiąty.](#)

[Rozdział jedenasty.](#)

[Rozdział dwunasty.](#)

[Rozdział trzynasty.](#)

[Rozdział czternasty.](#)

[Rozdział piętnasty.](#)

[Rozdział szesnasty.](#)

[Rozdział siedemnasty.](#)

[Rozdział osiemnasty.](#)

Rozdział pierwszy

Trudno uwierzyć, że angielski muzyk David Bowie zupełnie nieświadomie przyczynił się do tego, iż dwie panienki z Polski siedziały oto w samolocie, który dopiero co wystartował z Orly pod Paryżem do Nowego Jorku.

– Gdyby nie wasza Anne Collins, nie byłoby całego zamieszania i nie musiałabym tego wszystkiego przeżywać – mówiła przy pożegnaniu rozhisteryzowana matka jednej z mających lecieć, blisko dwudziestoletniej Zosi.

– Mamuś, rozchmurz się! Nic złego przecież się nie dzieje. Po prostu spełniam swoje marzenia.

– Ale zanim to się stanie, musisz przelecieć nad oceanem.

– I kto to mówi? Sama latasz bez przerwy tu i tam, a teraz jesteś tak rozdygotana, jakbyś pierwszy raz w życiu widziała samolot. Nie wygłupiaj się. I co ci zawiniła biedna Anne Collins?

– Gdyby nie wysłała wam zaproszenia, gdybyście jej nie poznali...

Anne Collins, Zosia i Agnieszka poznały się w Warszawie dzięki fascynacji Davidem Bowie. Ta miła skądinąd absolwentka prawa na Harvardzie przyjechała na staż do Polski (co za paradoks, staż prawniczy w kraju jeszcze niedawno bezprawnie zniewolonym!). Otóż ta młoda kompetentna osobka, jak się okazało, była zakochana nie tylko w siermiężnej Polsce – która choć boso, ale w ostrogach zdołała obalić komunizm – lecz również, podobnie jak Zosia i Aga, w Davidzie Bowie i jego dokonaniach. Młode osoby szybko znalazły wspólny język i Amerykanka zaprosiła polskie koleżanki do siebie za ocean.

Kiedy dziewczęta zostały wezwane do ambasady amerykańskiej na rozmowę o wizach, urzędnik długo kręcił nosem, że to trochę dziwne, iż

obie mają zaproszenie od tej samej osoby, bynajmniej z żadną z nich niespokrewnionej.

– Co panie łączy z zapraszającą? – zapytał.

– Zainteresowania, żyjemy tym samym – odpowiedziała elokwentnie Agnieszka. – Anne Collins była tu na stażu. Jest prawniczką.

– A panie, jak wynika z papierów, są studentkami drugiego roku nie prawa, lecz dziennikarstwa i lingwistyki stosowanej.

– No tak, ale słuchamy tej samej muzyki.

– Co???

– No właśnie – dodała Zosia. – Chciałyśmy razem zdążyć na Woodstock, to znaczy na dwudziestą rocznicę Festiwalu Woodstock...

– To dlaczego napisały panie, że chodzi o studia uzupełniające?

– Bo to prawda. O to też zamierzamy się starać.

Urzędnik był zdumiony. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się zetknąć z taką otwartością. Rozbawiła go szczerłość i determinacja, z jaką dziewczęta wykladały mu swoje racje. Wyszły z tej rozmowy załamane i wielkie było ich zdziwienie, gdy po miesiącu dostały wiadomość o przyznaniu im wiz. Nie posiadały się z radości. Tak to było.

A teraz oto Zosia, jedyna córka Kasi i Maćka Kalczyńskich, leci za ocean. Natomiast jej matka, która sama przez całe życie podróżuje, siedzi w autobusie z Orly do Paryża i nerwy ma napięte jak postronki. Wymyśliła sobie, że czas podróży córki za ocean musi spędzić we Francji, z uwagi na łatwiejszy kontakt stamtąd z Ameryką.

Zamienię się w latającą stworę i będę trzymać samolot, żeby równo zmierzał do celu – postanawia w myślach. Oczami wyobraźni widzi siebie w białej powiewnej szacie, podpierającą wyciągniętymi rękami wielkiego metalowego ptaka. Z natężoną uwagą leci, asekurując go od dołu. Jeśli nie

przestanę o tym myśleć, nic złego się nie stanie – decyduje. – To będzie taki eksperyment.

Eksperyment się udaje, bo niedługo po przewidzianej godzinie przylotu córki do Nowego Jorku słyszy kojącą wiadomość:

– Mamuś, nie mogę długo gadać, bo to na koszt Anne. Jesteśmy na miejscu. O szczegółach wkrótce napiszę.

Tylko tyle i aż tyle. Jaka ulga!

Nazajutrz Zosia zadzwoniła do niej z Bostonu. Rozmowa też nie trwała długo, córka rzuciła jej garstkę informacji o tym, że podróż była dobra, że są w domu rodziców Anne Collins i jutro rano jadą dalej.

– Cieszę się kochanie, ale daj mi numer telefonu do miejsca, gdzie będziesz, to ja zadzwonię, żebyśmy mogły porozmawiać dłużej. Przecież po to przedłużyłam pobyt we Francji.

– Jak tylko gdzieś zostaniemy na dobre, podam ci adres z numerem telefonu, zadzwonię jeszcze albo napiszę.

Upłynęło dziewięć długich dni i matka doczekała się wreszcie upragnionego listu zza oceanu, który przynajmniej na jakiś czas rozwiązał jej niepokoje.

Cape Cod, 5 lipca 1989

Mamasiku kochany! Ciągle mam przed oczami Twoją zatroskaną twarz, gdy odlatywałyśmy z Orly. No i co? Jestem cała i szczęśliwa. Lot był długi, ale dało się wytrzymać, drzemałam prawie cały czas, poza chwilami gdy przelatywałyśmy nad Grenlandią – co za widoki! Poczciwa Anne Collins – którą odsądzasz od czci i wiary – czekała na nas w Nowym Jorku i przewiozła nas supersamochodem do domu swoich rodziców w Needham pod Bostonem. Przyjęli nas bardzo miło. Jej tata jest weteranem walk w Korei, a teraz pracuje jako agent ubezpieczeniowy, mama prowadzi dom.

Miła starsza pani około sześćdziesiątki. Żyje im się chyba nieźle, bo mają ten dom koło Bostonu i świetny letni domek na Cape Cod, tuż nad morzem. Po dwóch dniach zwiedzania Bostonu zabrali nas na półwysep na piknik z okazji Święta Niepodległości – to było wczoraj, czyli czwartego lipca. Trafiliśmy prosto na esencję Ameryki: patriotyczne śpiewy, parady, kiermasze, konfetti, sztuczne ognie, fajerwerki i hot dogi.

Od dzisiaj znowu jesteśmy w Needham. Anne nas tu przywiozła i pojechała do siebie, bo ona nie mieszka z rodzicami. Ci jej rodzice są wspaniali, bo zaufali nam i dali klucz do swojego domu. Sami zostali na całe lato na Cape Cod. Teraz musimy sobie radzić same. Utrzymać się tu można bardzo, bardzo tanio, ale Anne dała nam adresy agencji, które zatrudniają studentów na dorywcze prace.

Przez jakiś czas zamierzamy tu zostać i zwiedzić, co się da w pobliżu, a jak trochę zarobimy, ruszymy dalej.

Dziękuję Tobie i Tatasikowi za to, że opłaciliście mi bilet, a Tobie, że zaopatrzyłaś mnie finansowo na ten pobyt. W końcu to wszystkie Twoje zarobione pieniądze z poprzedniego i jeszcze części obecnego kontraktu. Postaram się ich nie zmarnować.

Nie martw się Mamasiku, przecież wiesz, że radzę sobie w czasie Twoich wyjazdów, to i z moim będzie dobrze.

Pa, pa, całuski! Twoja Zosia – dorosła!

PS Do Tatasika też napiszę.

Kilka dni przed zakończeniem letniej tury występów w wodewilu *Paris Chanteclair*, który wystawiany był w okolicach słynnego Pchlego Targu, zjawiła się w garderobie menadżerka grupy, księżna Luba d'Avignon. Jej obecność za każdym razem była zapowiedzią jakiejś zmiany w programie lub obsadzie, toteż wykonawcy przycichli i posyłali sobie znaczące

spojrzenia. Ale szefowa zaraz po przywitaniu się rozwiąła wszelkie obawy, mówiąc:

– Proszę o chwilę uwagi, kochani. Ponieważ ten etap waszej pracy wkrótce się zakończy, chciałabym wszystkim podziękować za to, że rozsławiliście nasz teatrzyk. Dzięki temu nie raz jeszcze będziecie tu gościć. Przedłużono nam kontrakt o półtora roku. Prowadzimy też rozmowy o nowym spektaklu. Musimy to uczcić, a zatem zapraszam wszystkich na uroczystą kolację za tydzień, po ostatnim przedstawieniu. Zarezerwujcie sobie czas.

– Madame Katherine – zwróciła się do Kasi. – Czy dzisiaj po spektaklu mogłabym zająć pani trochę czasu?

– Jak długo? Bo o ósmej trzydzieści muszę już być w „Chez Raspoutine”.

– Odwiozę tam panią, po drodze porozmawiamy.

Koledzy i koleżanki popatrzyli na Kasię ze współczuciem. Byli przekonani, że jej dalszy udział w programie stanął pod znakiem zapytania. Jej też zrobiło się nieswojo. Sama wiedziała, że nie może tu przyjeżdżać wiecznie, ale wolałaby zakończyć tę współpracę z własnej woli, a nie pod przymusem. Tym bardziej że cieszyła się powodzeniem u publiczności i szacunkiem kolegów.

Luba widocznie wyczuła jej niepokój, bo powiedziała, wychodząc na widownię:

– Głowa do góry, Kati, uśmiech na twarz i muszę pani powiedzieć, że dużo sobie po naszej rozmowie obiecuję.

– Nie zwolni cię, pewnie nie. Nie byłaby taka miła – pocieszył ją Jean Claude, komik z teatru „Bouffes du Nord”, jak tylko upewnił się, że pani menadżer wyszła.

– Szczerze mówiąc, wszystko mi jedno. Po pierwsze nic nie trwa wiecznie, a po drugie mam już trochę dość rozstań z rodziną.

– No właśnie! Zastanawiałem się, jak ty żyjesz. Małżeństwo na odległość zdaje egzamin?

– Wyobraź sobie, że tak. Czujemy się mimo wszystko mocno związani. Zresztą mąż miał tu być teraz ze mną, tylko dostał właśnie wymarzoną pracę, wrócił do dziennikarstwa i nie może sobie pozwolić na urlop. A córka jest za oceanem. Po wakacjach znowu się zjedziemy.

– Ja bym tak nie mógł. Bałbym się o wierność żony, a i sam potrzebuję kobiety na co dzień.

– Pośpiesz się Jean Claude, trzeci gong, wchodzimy na scenę – korzystając ze sprzyjających okoliczności, Kasia urwała temat.

Przedstawienie miało dobre tempo i publiczność nagradzała to oklaskami.

– Gratuluję kochani, byliście wspaniali! – pochwaliła ich Luba. – Z przyjemnością was oglądałam. Katherine, czekam na zewnątrz w samochodzie – dodała i wyszła.

Zmywając charakteryzację i przebierając się, Kasia zastanawiała się, czego będzie dotyczyć i jak się potoczy zapowiadana rozmowa.

Ledwie udało się Lubie wymanewrować z wąskich, krętych uliczek na Boulevard Périmérique, podjęła temat.

– Kati, żeby nie trzymać pani w niepewności, powiem, o co chodzi. Chcę wrócić do propozycji sprzed dwóch lat, jaką pani złożyłam, na którą nie miała pani wtedy czasu. Teraz, o ile wiem, chce pani jeszcze trochę zostać poza Polską, z powodu córki.

– A skąd pani o tym wiadomo? – zdziwiła się Kasia. – Nie rozmawialiśmy na ten temat.

– Byłam przypadkowym świadkiem pani rozmowy z koleżankami przed tygodniem. Opowiadała pani o tym, że tu rozmowy telefoniczne ze Stanami są tańsze i listy dochodzą szybciej. Przepraszam, nie podsłuchiwałam, ale rozmawiały panie głośno. Pomyślałam wtedy, że to okazja dla mnie, żeby zrealizować pani tournée, które wcześniej proponowałam. Chyba teraz przyszedł na to pora. W sierpniu „Rasputin” jest zamknięty, więc...

– Jestem zaskoczona. Dziękuję, że nie obraziła się pani wtedy. Naprawdę byłam zajęta.

To, że nie wierzyła w organizacyjne możliwości księżnej, pominęła milczeniem. Ku jej zaskoczeniu ta powiedziała:

– Ja wiem, czas może by się znalazł, gdyby mi pani ufała, ale... skąd mogła pani wiedzieć, że miałam za sobą lata praktyki?

Kasia poczuła, że się czerwieni, i żeby odwrócić uwagę rozmówczyni, szybko zapytała:

– Wszystko dobrze, ale czy pani zdoła mnie „sprzedać”? Przecież etykieta śpiewaczki z paryskiego „Rasputina” to niewiele, a moje osiągnięcia z Polski nic tu nikomu nie mówią.

– Myli się pani. Polska jest teraz na ustach wszystkich. Po tym, co zrobiliście, jak zachwialiście w posadach stary system, wszędzie o was się mówi. Zadziwiliście świat. Proszę mi wierzyć, lepszego momentu nie będzie. Musi pani tylko uwierzyć w swoje możliwości i moje kontakty. Zamierzam pokazać panią w nie za dużych salach, gdzie mam zapewnioną publikę. No to jak?

– Skoro pani tak uważa...

– Czuję, że to się uda. Odpowiednia reklama zrobi dużo, a reszta zależy od pani, Kati. A ja wierzę w panią.

– Skoro tak, obym pani nie zawiodła... A repertuar? Bo chyba nie piosenki cygańskie?

– Myślałam o tym. Cygański też, czemu nie. Ale również francuskie – choćby te z *Paris Chanteclair*, no i polskie, o których pani opowiadała, te kontestacyjne z okresu stanu wojennego. Oczywiście musiałabym je usłyszeć... Mogłabym zlecić tłumaczenia...

– Nie trzeba. Sama kilka przetłumaczyłam i nawet już wypróbowałam we francuskich kabaretach literackich, gdzie przemycałam je do repertuaru. Słuchano ich z dużym zainteresowaniem.

– To świetnie! Nie mogę się doczekać, kiedy je usłyszę.

Rozmawiały tak, jadąc samochodem od Porte de Clignancourt do Porte Maillot. Posuwały się do przodu w miarę szybko, pomimo tłoku, jaki był na Boulevard Périphérique, ale kiedy skręciły w Grande Armée, utknęły w korku. Kilka rzędów samochodów usiłowało przedrzeć się na Plac Gwiazdy w stronę Champs Élysées. Wyglądało to tak, jakby kto żyw zmierzał w tym kierunku. Kierowcy usiłowali zmienić pas jazdy, nadużywali klasonów, lecz i tak więcej stali, niż jechali.

– Za dziesięć minut powinnam być w garderobie „Rasputina”, chyba nie mam szans? – odezwała się Kasia.

– Przykro mi. Myślałam, że odwożąc panią samochodem, robię przysługę. No cóż, jazda metrem też ma swoje zalety.

– Boję się, że nie zdążę na pierwszą scenę zbiorową, ale do mego solowego wyjścia mam sporo czasu.

– Wytłumaczę panią przed dyrekcją, bo przecież nie ma w tym pani winy, Kati.

Decydując się na pracę w kilku odległych miejscach Paryża, Kasia brała na siebie ryzyko, że może gdzieś nie zdążyć na czas, ale korzystając z metra miała pewność, że to mało prawdopodobne. Paryskie metro – jak dotąd – nigdy jej nie zawiodło.

– Skoro już musimy posuwać się w tym korku w żółwym tempie, porozmawiajmy jeszcze o trasie koncertowej – przerwała chwilową ciszę między nimi Luba. – Mam dla pani propozycję nie do odrzucenia.

– Czy chodzi o coś nowego? – zaciekała się Kasia.

– Niech pani zamieszka u mnie, przy bulwarze Exelmans.

– Jak to? Jak mam to rozumieć?

– Zwyczajnie. Po co ma pani płacić za hotel, skoro ja mieszkam sama w dość dużym apartamencie. Przed wyjazdem na koncerty i tak musimy częściej się spotykać, żeby wszystko poustalać i przygotować. Mam w domu fortepian, mogłaby pani robić przy nim próby. W ogóle byłoby to wielce praktyczne rozwiązanie. No więc jak?

– Jestem zaskoczona, nie chciałabym przeszkadzać...

– W czym? Będzie pani miała swój pokój, miło mi będzie panią gościć.

– Jeśli tak, rzeczywiście ma to sens, zwłaszcza że jest fortepian. Razem wybierzemy repertuar.

– Świetnie! Dobrze pani powiedziała: wybierzemy, bo nie będziemy robić nic nowego, same wypróbowane numery z ograniczonego repertuaru. Wiem, jakim obciążeniem jest robienie wszystkiego od początku.

– Oczywiście, mam z czego wybierać.

– Uff! Nareszcie! – wykrzyknęła Luba radośnie, bo nagle samochody stojące przed nią zaczęły jechać.

– Może jeszcze zdążę? – ucieszyła się Kasia. – Właściwie jesteśmy tak blisko, że mogłabym wysiąść i pójść na piechotę. – Były już na Champs Élysées, przy Drugstorze, o dwa kroki przed ulicą Bassano, przy której był kabaret.

– Nie ma potrzeby, jeszcze jedziemy, ale zanim znajdę miejsce do parkowania, rzeczywiście powinna pani wysiąść, jednak dopiero na rogu, jest już tuż, tuż.

W związku z tym, że się dogadały i rozluźnił się korek na jezdni, obie kobiety były w znakomitych nastrojach i kiedy Kasia wysiadła przed oświetlonym wejściem do „Chez Raspoutine”, Luba powiedziała radośnie:

– Tylko zaparkuję i zaraz będę, przynajmniej wiem, co uczymy dzisiejszego wieczoru szampanem.

Tak więc druga połowa lipca miała być dla Kasi okresem wytężonej pracy, bo oprócz wieczornych i popołudniowych występów resztę dnia musiała poświęcić na przygotowania do trasy koncertowej. Czuła się trochę jak szarlatanka, która wdaje się w niewiarygodną przygodę. Tyle że podczas kolejnych etapów pracy w programie *Paris Chanteclair* wiedziała już, iż księżna d’Avignon jest kompetentna i nie rzuca słów na wiatr.

Spakowała swoje rzeczy, wymeldowała się z hotelu Polskiej Akademii Nauk przy rue Lauriston i po dwóch tygodniach od pamiętnej rozmowy zamieszkała z Lubą w jej apartamencie przy bulwarze Exelmans.

– Czym chata bogata – powiedziała do niej gospodyni. – Proszę się rozgościć w salonie. Będzie pani spała na tej dużej rozkładanej kanapie we wnęce za fortepianem. Swoje rzeczy może pani ułożyć w szufladach malowanej komody. Jeśli ma pani coś do powieszenia, w przedpokoju jest duża pusta szafa. Ja teraz przygotuję coś do jedzenia. Lubi pani endywię?

– Tak, bardzo lubię.

– To dobrze, bo ja ją do wszystkiego dodaję.

Kasia trochę bała się mieszkania u Luby. Kiedyś wydawała się jej czarująca, ale bywała też apodyktyczna i wyniosła. Teraz była miła i naturalna, przynajmniej na razie. Kasia dziwiła się, że Luba sama zajmuje się kuchnią. W domu nie było widać żadnej służby.

Kiedy zjadły posiłek złożony z warzyw i zimnego mięsa, gospodyni powiedziała:

– Jeśli chce pani gdzieś zadzwonić, proszę się nie krępować. Zaprosiłam dziś na kolację pana George’a Trietiakowa. Chyba będzie pani miło, że przyjdzie?

– Ach tak? – zdziwiła się. – Skąd pani wiedziała, że jestem w kontakcie z George’em?

– Przecież pracowaliście razem w „Rasputinie”.

– Nawet zaprzyjaźniliśmy się trochę.

– Mówił mi o tym. Ja znam go dość długo. Jeszcze z czasów, gdy grał w kasynie mego byłego męża w Las Vegas. Muzyk całą gębą. Nie wiem, czemu wyłądował w „Rasputinie”.

– Bo się o niego starali. Poza tym ma mnóstwo innych koncertów.

Ależ ten świat jest mały! – pomyślała Kasia. – Gdzie się obróć, tam znajomi znajomych.

Wieczorem, po miłej pogawędce z kolegą z „Rasputina”, Kasia zadzwoniła do córki. Zosia następnego dnia miała lecieć do San Francisco. Miało to ten mankament, że lot przewidziany był w przeddzień rozpoczęcia trasy koncertowej, a Kasia – jak wiadomo – nie lubiła, gdy jej córka była w powietrzu, bo nie mogła się wtedy skupić na niczym innym. Tym razem jednak nie wolno jej było pozwolić sobie na dekoncentrację. I dobrze, bo dzięki temu ten przelot tak nieładnie jej się nie dłużył. Kiedy późną nocą odebrała wiadomość, że Zosia jest na miejscu, odetchnęła z ulgą, zresztą nie tylko ona, ale też jej pracodawczyni.

Na otwarcie trasy zapowiedziany był paryski koncert. Miał się odbyć za kilka dni w usytuowanym przy bulwarze Raspail ekskluzywnym klubie „Van Gogh”, należącym do przyjaciółki Luby, właścicielki pewnych holenderskich linii lotniczych. Bilety, o dziwo, były wyprzedane. Jak się jednak okazało, wykupili je znajomi i przyjaciele księżnej d’Avignon oraz znajomi tych przyjaciół. Śpiewać przy akompaniamencie Hectora,

stareńkiego pianisty z „Rasputina”, tego samego, który uważał, że Kasia przypomina mu Polę Negri, było czymś niezwykłym. W ciągu trzech dni opanował doskonale jej repertuar. Był znakomitym pianistą, grywał z Aznavourem i Juliette Greco. Nareszcie śpiewała jako Katherine Kalczynski – *La Polonaise*^{*}. Tak dużymi literami napisano na afiszu. Śmieszyło ją to, nie *la chanteuse*^{**}, tylko *la Polonaise*. Taki chwyt.

Repertuar ustaliły razem z Hectorem i Lubą, spierając się zajadle. Mimo całego szacunku do folkloru i muzyki cygańskiej, Kasia nie chciała wyrzec się tego, czego dopracowała się, zanim zaczęła śpiewać w „Rasputinie”. Korzystając z tego, że jest reklamowana jako osoba przybyła z kraju ogarniętego burzą polityczną, umieściła kilka zrobionych dawniej tłumaczeń swoich ostatnich buntowniczych songów. Miała więc w repertuarze trzy bloki: polskie piosenki stanu wojennego, francuskie piosenki po francusku i po polsku oraz romanse cygańskie. W pierwszej części znalazły się: *Piracka ballada*, *Przejściowe kłopoty*, *Dziadowska ballada*, *Nadzieja*.

Na prośbę Kasi Luba nie zaangażowała konferansjera. Kasia sprawdziła już bowiem wcześniej, że jej wtręty mówione skupiają uwagę francuskiej publiczności, prawdopodobnie za przyczyną akcentu. Podobne smaczki ugruntowały przed laty karierę Jarosy’ego w „Qui Pro Quo”. Kiedy przyszło jej mówić na obczyźnie w języku tubylców, szarżowała nawet tymi potknięciami językowymi.

Wreszcie drugiego sierpnia odbyła się premiera. W czasie koncertu inauguracyjnego na sali było cicho, jak makiem zasiał. Czekając na jej lapsusy, widzowie słuchali uważniej, co ma do powiedzenia. To się sprawdzało. Sama więc mówiła o piosenkach, o polskich artystach, o tym, jak się w Polsce śpiewa, żyje i walczy. I to był strzał w dziesiątkę. Udało się. Jak się potem okazało, nie tylko Kasia miała umiarkowane zaufanie do

możliwości księżnej, ale i ona sama też nie była taka pewna, że wybierając ją do tego przedsięwzięcia, postawiła na właściwą kartę.

Po koncercie obie odetchnęły z ulgą. Właścicielka lokalu urządziła fetę na cześć artystów. Wprawdzie oprócz szampana podano jedynie tak zwane *amuse-gueules*, czyli zabawiacze podniebienia – słone paluszki i migdały, ale to w pełni wystarczyło do stworzenia *ambiance*, czyli nastroju. Księżna ucałowała otaczaną i komplementowaną bohaterkę wieczoru i zaproponowała:

– *On va se tutoyer*^{***}.

– *Avec plaisir*^{****} – odrzekła pieśniarka bez tytułu i przypieczętowały te deklaracje bruderszaftem z bąbelkami.

Po powrocie do apartamentu przy bulwarze Exelmans zakumplowały się do reszty. Luba wyjęła albumy fotograficzne z komody pamiętającej czasy Ludwika XVI i zabrała swoją podopieczną w podróż sentymentalną. Zanim zaczęła opowiadanie, podała jeszcze osobiście przyrządzoną sałatkę z endywii i szynki. Sama parzyła herbatę, w samowarze zresztą, sama też ustawiała talerze. Ośmielona wypitym po koncercie szampanem Kasia, którą bawił paradoks, że oto ona, prosta szansonistka z ubogiego kraju, jest obsługiwana skwapliwie przez bogatą księżną d'Avignon, zapytała Jej Wysokość:

– Czemu ty, Lubo, nie trzymasz służącej?

– Bo to nie jest mój dom. To mieszkanie po mamie, jeszcze go nie uporządkowałam i nie mogę służbie pokazać takiego bałaganu. Dawna służąca mamy odeszła, a nową sprowadzę, gdy posprzątam, żeby się nie wstydzić.

– Jak posprzątasz, to po co ci ona będzie?

– Żeby trzymała porządek, jaki zastanie. Rozumiesz?

Kasia nie rozumiała, ale nie miała czasu dopatrywać się w tym logiki, bo Luba właśnie otworzyła jeden z albumów i na pierwszej jego stronie ukazało się prześliczne dziewczę o wielkich oczach i grubym warkoczu owiniętym wokół głowy.

– To ja. Tak wyglądałam, gdy miałam siedemnaście lat. A ta dama poniżej to moja kochana mama, Łarysa Orłowa. Była architektem z zawodu, a z zamiłowania malarką i poetką. Do swoich lirycznych wierszy komponowała nieskomplikowane melodie, których nie potrafiła sama zapisać. Wyręczał ją w tym śpiewak i profesor z konserwatorium Rachmaninowa, w którym się w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat zakochała bez pamięci. Nagrywała mu płyty za moje pieniądze, finansowała koncerty. Był kością niezgody między nami. Obie znalazłyśmy się we Francji w sposób romantyczny. Babcia mamy, wdowa po słynnym malarzu pochodzenia żydowskiego, wychowywała ją zgodnie z zasadami swego domu rodzinnego. A był to dom szlachecki. Burza rewolucji zagnała ją jako panienkę do Moskwy i tam już została ze swoją byłą nauczycielką, bo dom rodzinny spłonął, a rodzice pomarli w czasie epidemii tyfusu. Nauczycielka, żeby ją ocalić, adoptowała ją, zadbała też o jej wykształcenie. Zrobiła wszystko, żeby Łarysa nie zapomniała, co wyniosła z domu rodzinnego. Tak samo Łarysa po wyjściu za Orłowa zajęła się potem swoją córką, czyli mną. Kiedy był zlot młodzieży w Moskwie, miałam siedemnaście lat. Byłam ładną dziewczyną, mówiłam biegle po angielsku i francusku. Pełniłam więc na festiwalu rolę tłumaczki. Wtedy to poznałam wiedeńskiego reżysera, który był blisko spokrewniony z królem Belgii. Dogadaliśmy się, że weźmiemy ślub, żebym mogła wyjechać z Rosji. Tak też zrobiliśmy. Nie było to łatwe, ale on stanął na głowie i używając do pomocy rządu Austrii, Belgii i kogo się tylko dało, wywiózł mnie wraz z matką ze Związku Radzieckiego. Nie czułam się dobrze

w Wiedniu. Razem z matką wynajęliśmy na sezon letni dom w Cannes i już tam zostaliśmy. Po paru latach Hans z trudem pogodził się z tym, że uważam nasz ślub za fikcyjny. Nie kochałam go, ale z wdzięczności trwałam przy jego nazwisku, a on wciąż miał nadzieję na zdobycie moich uczuć, aż do dnia, w którym zginął tragicznie w katastrofie lotniczej, zostawiając mi jako oficjalnej młodej żonie niebagatelną fortunę.

Kasia pomyślała, że w odróżnieniu od romantycznej matki, Luba umie dobrze liczyć. Spieniężyła duże fabryki w Belgii, sprzedała papiery wartościowe, a gotówkę umieściła w bankach szwajcarskich. Żyły nieźle z procentów. Nie minął rok i na horyzoncie pojawił się nowy wielbiciel, jeszcze bogatszy niż poprzedni. Stanley Owens wykupił całe nowoczesne dzielnice w Cannes, gdzie wynajmował bogatym snobom zza oceanu luksusowe rezydencje. Wprowadził młodą żonę w świat biznesu, w którym zaczęła poruszać się swobodnie. Żyli z rozmachem. Bywali w najlepszych domach Europy. Po roku coś się między małżonkami popsło. Pewnego dnia Stanley zabrał w podróż śpiewaczkę hiszpańską i osiedlił się z nią na stałe na Wybrzeżu Kości Słoniowej. W tym samym czasie zmarła jej matka. Luba została sama.

– Szybko zorientowałam się – kontynuowała swoje opowiadanie – że pogrążam się w depresji. Całymi dniami nie wstawałam z łóżka. Ludzie stronili ode mnie, bo nie mogli pogodzić się z moim nowym stylem życia. Poza rozpaczą z powodu utraty dwóch drogich osób dręczył mnie paniczny strach przed utratą fortuny. Pośród antyków wartych miliony, sobolowych futer, wielocyfrowych kont żyłam jak ascetka. Znałam już biedę, podobnie jak moja matka, z lat porewolucyjnych i tych po drugiej wojnie światowej, które spędziłam w Moskwie. Po moich szufladach poniewierały się brylantowe broszki i pierścionki tudzież osiemnastokaratowe złote zapinki, a ja dostawałam palpacji z powodu każdego wydanego franka. Miałam też

obsesję, że porzucona przez męża raz na zawsze wypadnę z eleganckiego towarzystwa, ale mimo to nie bywałam nigdzie i nikogo u siebie nie przyjmowałam. I wtedy przypadkiem u mojego lekarza, który podkochiwał się we mnie i zmuszał do dbania o zdrowie, spotkałam Wiktora Władimirowicza. Doktor znał siłę perswazji mojego rodaka. Wiktor mieszka przy bulwarze Raspail. Ma tam własny trzypiętrowy secesyjny dom, którego jedno piętro zajmuje sam. Zobaczysz te jego obszerne i dość mroczne komnaty pełne książek i wspaniałych rycin batalistycznych z osiemnastego wieku. Zdradzę ci przy okazji, ale nie możesz się przyznać, że ci to mówiłam, pewien sekret Wiktora. Otóż jest on nieślubnym synem Lenina i pewnej śpiewaczki wiedeńskiej. Sam twierdzi oficjalnie, że to plotka. Niestety podobieństwo do sprawcy naszych nieszczęść, wodza dziejowej burzy, potwierdza tę prawdę.

W tym momencie opowieści Kasia przypomniała sobie człowieka, na którego widok na bankiecie po jej dzisiejszym koncercie sprawił, że stanęła jak wryta i długo nie mogła się ruszyć. Pojawił się przed nią Włodzimierz Iljicz Lenin (właściwie W. I. Uljanow). Zupełnie jak z portretu, ale jak najbardziej żywy. Złożył jej gratulacje, a ona nie była w stanie nawet mu podziękować. Stała, patrzyła i porównywała szczegóły różniące go od zabalsamowanego wodza, któremu dokładnie przyjrzała się w moskiewskim mauzoleum przed kilku laty. Miał więcej włosów niż nieboszczyk i nowocześniejszy garnitur. Poza tym wszystko było takie samo.

– Drugi syn tej śpiewaczki, Taruk – ciągnęła swą opowieść Luba – przyrodni brat Wiktora, jest znanym w świecie impresariem. Poznałam go w teatrze, do którego poszłam na zaproszenie Wiktora. Niedługo potem wyjechałam z obydwojma braćmi do Los Angeles i tam zaczęłam pracę w biurze Taruka. Praca impresaryjna zafascynowała mnie. Podjęłam nawet

dwuletnie studia menadżerskie, a kiedy je skończyłam, byłam już żoną Billa Stacy’ego, właściciela pięciu kasyn w Las Vegas. Po roku okrzyknięto mnie *femme fatale*, bo mój mąż zmarł nagle, zastawiając mnie z całym swoim majątkiem, którym nie umiałam się zająć. Sprzedałam wszystko i wróciłam do Europy na urlop, ale w Nicei spotkałam księcia d’Avignon. Zakochał się we mnie bez pamięci. Ja traktowałam go powściągliwie, a kiedy przekonałam się, że jego apetyt na perwersję jest nieposkromiony, najzwyczajniej uciekłam. Lubię się kochać normalnie, po bożemu. Jego kajdany, maści i wyuzdane kostiumy przerażały mnie. Separacja trwa, jak widzisz. Wróciłam do swojej ulubionej pracy, żeby o tym nie myśleć. Oto moja spowiedź. Niech ci się przyda jako nauka: trzeba dobrze poznać mężczyznę zanim się go poślubi.

– Mnie to nie dotyczy. Po pierwsze jestem zakontraktowana na dobre i na złe, a po drugie nikt z majątkiem się do mnie nie garnie.

– Ale nie wiesz, czy tak będzie zawsze.

Wiktora Kasia poznała bliżej następnego dnia. Przyszedł przed wieczorem, zmusił obie do włożenia wyjściowych strojów i zabrał je na kolację do „Dominika”. Rozmawiał z Kasią o tym, co się stało w Polsce, porównywał jej sytuację do innych podobnych w historii powszechnej, gdy wprowadzono w jakimś kraju stan wyjątkowy czy wojenny. Robił całe wywody historyczne. Mimo iż słyszała od Luby, że jest historykiem z wykształcenia, jego widzenie różnych spraw wydawało się jej bardziej emocjonalne niż naukowe. Spierała się z nim o różne rzeczy.

– Jest pani mądrą kobietą – powiedział. – I bardzo ładną. Cieszę się, że panią poznałem. Chociaż mam żal do Polaków, że obwiniają Rosjan o Katyń.

Ostatnią wypowiedzią trafił w jej czuły punkt. Odpowiedziała więc:

– Niech pan u mnie nie szuka uniewinnienia ani rozgrzeszenia. Najlepiej nie poruszajmy tego tematu. Mój ojciec i jego brat zginęli w Katyniu.

– Zginęli, zginęli... Tego jeszcze nie wiadomo.

– Ojciec zmarł przed wywiezieniem polskich więźniów ze Starobielska, stryj prawdopodobnie został zamordowany w Katyniu, bo nigdy stamtąd nie wrócił.

– To straszne, szczerze pani współczuję. Ale nie uwierzę, za nic nie uwierzę, że zrobili to Rosjanie. Taki mord nie leży w naszej naturze.

A jednak ten syn Austriaczki, nieprzyznający się oficjalnie do tego, że jest synem Lenina, czuł się Rosjaninem.

– Wiktor, jesteś romantykiem, naiwnym romantykiem. Związek Radziecki to nie twoja *bylinnaja Rosija*^{*****}. I życie tam to nie literatura – wtrąciła się Luba.

– Poświęcę resztę życia na upewnienie się co do tego. A jeśli zrobili to Rosjanie... to ja... Ale nie wierzę, to z pewnością nie leży w naszej naturze.

– Są już na to przekonujące dowody – powiedziała Kasia.

– Nie! Proszę nie mówić nic więcej! Szkoda, że jest pani Polką, bo podoba mi się pani.

– A mnie się podoba to, że jestem Polką.

– Mimo to i pomimo różnicy zdań na bolesny dla mnie temat...

– Bolesny to on jest dla mnie i dla wielu Polaków...

– Jest bolesny w ogóle – stwierdził Wiktor. – Na świecie nie powinno być aktów przemocy, a zbrodni i skrytobójstwa w szczególności. Chcę jednak, Katherine, żebyśmy żyli w przyjaźni. Wyjeżdżam niedługo na cały sezon do Grasse, kurortu położonego obok Cannes. Mam tam duży dom. Chętnie widziałbym panią wśród moich gości. Wokół mojej posiadłości

rozsiane są inne, należące do elity. Bywają u mnie ciekawi ludzie: pisarze, artyści, książęta, naukowcy, Francuzi i cudzoziemcy. O ile wiem, Princessa tak zaplanowała pani trasę, że po drodze będę mógł dwie piękne panie do siebie zwabić. Wtedy sobie porozmawiamy.

Na tym dyskusja i spór katyński tego dnia się skończyły, bo dołączyło do nich liczne towarzystwo ich znajomych. Niektórzy byli na Kasi koncercie.

– Jakie są dalsze plany, podobno koncerty w Europie? – zapytał jeszcze Wiktor.

– Tak, za trzy dni ruszamy na południe – odpowiedziała Luba. – Czekam tylko na moją przyjaciółkę szkolną, Zoję. Pojedzie razem z nami.

W taki oto sposób Kasia domyśliła się, czemu Luba umieściła ją w salonie. Wolny pokój usytuowany obok jej sypialni zarezerwowany był dla jej przyjaciółki.

– Z Zoją chodziłyśmy razem do gimnazjum w Rosji – zwróciła się Luba do Kasi. – Zaprosiłam ją specjalnie właśnie teraz, bo ona wyszła za mąż za Polaka i mieszka w Warszawie. Jest uczoną. Razem z mężem piszą słowniki, taka z niej *umnica******. Myślę, że to będzie pożyteczna dla was obujomość. Zawsze chciałam jej pokazać trochę świata i teraz będzie okazja.

– Princessa ma wielkie serce. Szkoda, że nie jestem młodszy, chętnie bym o nie zawalczył.

– Wiktor tylko tak mówi – roześmiała się Luba. – Jedyna jego namiętność to przekonywanie całego świata do tego, że Rosjanie są szlachetni i niezdolni do złego.

– A co, ty, Rosjanka, nie wierzysz w czystość rosyjskiej duszy?

– Oj, Wiktor, malczyszka*****! Gdyby tak było, nigdy bym stamtąd nie uciekała. Ludzie, jak ludzie, wszędzie są dobrzy i źli.

Zoja przyjechała i nie była zachwycona, że Luba postarała się dla niej o towarzyszkę z Polski. To ona wolałaby przy swojej przyjaciółce grać pierwsze skrzypce. Była to niebrzydka szatynka o jasnych oczach i lekko zaokrąglonej sylwetce, ruchliwa i egzaltowana. Miała obsesję na punkcie szkodliwego promieniowania, a także zdrowej żywności. Żeby ją sprawdzać, zawsze miała na podorędziu wahadełko. Jej zachowanie, delikatnie powiedziawszy, było nietypowe.

– Oj, niedobrze – powiedziała Kasi nazajutrz po swoim przyjeździe, przyglądając się jej i trzymając wahadełko nad jej głową.

– Czy to może znaczyć, iż w ten prosty sposób odgadła pani, że czasem mam ochotę skrócić komuś kark? – spytała zaciekawiona Kasia.

– Może nie to, ale są w pani duszy jakieś mroczne zakamarki – powiedziała Zoja.

– Jestem, proszę pani, z natury wielkoduszna – wyjaśniała Kasia, przyjmując jej styl. – Moja wielka dusza z trudnością mieści się w cherlawym ciele. Jest w nim ściśnięta, tworzą się więc na niej zmarszczki i zagięcia, a w nich rzeczywiście może być mroczno.

– O czym wy mówicie? – zdziwiła się Luba.

– O dziwnym zrządzeniu losu, które jednych obdarza nadprzyrodzoną mądrością i zdolnością do czynienia cudów, a innych czyni posłuszną w ich rękach materią – odpowiedziała jej Kasia i zwróciła się do Zoi: – Czy pani umie również zamawiać bóle? Bo chyba bierze mnie migrena.

– Proszę usiąść na krześle i podnieść włosy do góry – zareagowała natychmiast Zoja, nie zauważając, że została podpuszczona.

Kasia usiadła posłusznie, skręciła włosy wokół dłoni i zawiązała je w węzeł na czubku głowy. Zoja zabrała się do niej z całą powagą. Najpierw potarła ręce jedną o drugą, jakby je mydliła, potem strzepnęła energicznie dłonie i podniósłszy je do góry palcami, zbliżyła do karku badanej.

– Czuje pani ciepło? – spytała.

– A powinnam?

– Musi się pani skupić. Kiedy zacznie się pani rozgrzewać, proszę mi powiedzieć.

Trzymała i trzymała ręce nad jej głową. Chyba już jej omdlały, a Kasia milczała.

– No i co? – zapytała zaniepokojona uzdrowicielka.

– Boli – jęknęła Kasia. – Boli coraz bardziej.

Zoja otrzepała dłonie, pomasowała jedną i drugą i na nowo zbliżyła je do szyi Kasi.

– A nie lepiej wziąć aspirynę? – wtrąciła się Luba.

– Też coś! Leki to trucizna! – parsknęła Zoja i dalej przekazywała cierpiącej swoją energię.

– Parzy mnie, och, jak parzy, niech pani przestanie!

– A nie mówiłam? No, jak? Lepiej?

– Ból minął. Tylko niech pani odejdzie dalej, bo strasznie pani grzeje – poprosiła Kasia.

Zoja była bardzo z siebie zadowolona. Kasia też, bo wiedziała, że przez jakiś czas będzie jej życzliwa. Skoro uwierzyła w jej nadzwyczajne właściwości, nie miała powodu się na nią dąsać. Kasia, mimo że nie była jasnowidzem ani żadną inną czarownicą, od razu zauważyła, że Zoja postanowiła być jej wrogiem, gdy tylko ją ujrzała.

Co się tyczy „cudownego” uzdrowienia, to gdyby Kasia naprawdę miała ból głowy, Zoja nie zdołałaby go pokonać, nawet będąc obdarzoną wielką mocą przez ciała astralne. Kasia bowiem była niezwykle odporna na tego rodzaju praktyki. Już nie raz brali ją w ręce różni uzdrowiciele i nigdy nic nie wskórali. Być może dlatego, że przy takim działaniu najeżała się

w niej jakaś buntownicza energia, która odpychała wszelkie dobroczynne starania. Brakowało jej też powagi i skupienia w czasie tych obrzędów. Szkoda, bo nawet chciała, żeby czasem dokonano na niej jakiegoś cudu.

Zoja była z zawodu leksykografem i miała podobno spore osiągnięcia w tej dziedzinie. Ale przede wszystkim była natchniona i wierzyła w swoje wyjątkowe zdolności radiestety i jasnowidza.

Kiedy wreszcie Zoja skończyła swój radiescezyjny show, Kasia ukryła się w swojej sypialnej wnące za fortepianem i wyjęła przyniesiony z Lauriston list od Zosi z San Francisco. Napisany był pośpiesznie, co mogło wskazywać, że córka w swojej podróży miała czas wypełniony po brzegi.

Najdroższy Mamasiku!

Biję się w piersi, że nie piszę do Ciebie tak często, jak powinnam. Ale wiesz, jak to jest, gdy się jest pierwszy raz w najpiękniejszym miejscu na Ziemi. Heinrich i jego partner robią wszystko, żeby nam pokazać jak najwięcej.

Wracając do naszego pobytu w Needham, w sfinansowaniu biletu (znalazłyśmy rewelacyjnie tani) do Frisko pomogła nam jedna Amerykanka, która zaangażowała mnie do sprzątnia dużego domu, bo bardzo emocjonowała się Polską i Polakami. Po dwóch tygodniach, kiedy płaciła mi za pracę, poradziła, żebym jak najszybciej skończyła studia, bo sprzątać to ja za dobrze nie potrafię. Było mi wstyd, chciałam zwrócić pieniądze, jednak ona nie chciała ich przyjąć. Żeby chociaż kręciła wcześniej nosem na to moje sprzątnie, ale nie – nigdy tego nie skrytykowała. Chyba po prostu chciała mi pomóc.

Poznałyśmy w agencji świetną dziewczynę. Ma na imię Lisa i jest studentką. Jej narzeczonym jest Pers z cesarskiego rodu Reza Pachlavich,

informatyk.

Do Waszyngtonu wylatujemy stąd czternastego sierpnia.

Muszę kończyć, bo już mnie wołają. Jedziemy na słynny most Golden Gate. Innym razem napiszę więcej.

Zosia – Twoja kochająca córeczka

Chwała Bogu za dobre informacje od Zosi – pomyślała stęskniona matka. – Ja też mam dużo wrażeń, nawet szalona Zoja przyczynia się do tego, że łatwiej mi znieść rozłąkę.

.....

* Polka

** piosenkarka, śpiewaczka

*** Mówmy sobie po imieniu.

**** Z przyjemnością.

***** legendarna Rosja

***** mądra dziewczyna, mądrała

***** chłopczyku

Rozdział drugi

Nazajutrz Luba i Kasia wyruszyły w trasę. Zanim dojechały do Avenue de l'Opera, gdzie Luba umówiona była z markizem Savignerem, dowiedziały się od Zoi, że wkrótce nadejdzie czas apokalipsy. W związku z tym wieszczka postanowiła żyć tak, jak zawsze marzyła. Przede wszystkim rozwiedzie się z mężem. No chyba że przystanie on na wszystkie jej nowe warunki – wtedy zgodzi się z nim zostać. Warunki będą twarde, ma się rozumieć. Nie zostało im już dużo życia, więc Zoja musi przeżyć ostatnie dni tak, jak sobie tego życzy.

Wywód ten został przerwany, gdy dojechały pod dom markiza. Luba zatrąbiła, a markiz wyszedł na balkon, pomachał im i powiedział:

– Już schodzę.

Zoja pogrzebała w torebce i wyjęła wahadełko.

– No i co? – spytała Kasia. Siedziały obok siebie na tylnych siedzeniach. Przednie mieli zająć markiz i księżna.

– Co co ?

– Co to będą za warunki dla pani męża?

– Opowiem, jak przyjdzie markiz – odrzekła.

– Daj spokój, Zoja, z tymi bzdurami – wtrąciła się Luba. – Nie wygłupiaj się przy markizie. On nie lubi, jak kobiety obmawiają mężczyzn.

– Ja nie obmawiam mężczyzn. Mówię o swoim mężu.

– To nie mów.

Zoja wzruszyła ramionami. Markiz wszedł do samochodu. Luba ustąpiła mu miejsca za kierownicą. Przywitał się z paniami i ruszył.

Zoja ustawiła wahadełko między jego plecami a swoją opiętą sweterkiem piersią i zaczęła badania.

– W czasie jazdy mogą być zakłócenia – powiedziała Kasia.

– Jakie zakłócenia? – spytała Luba. – Samochód u garażysty został sprawdzony.

– Ja nie o samochodzie. Miałam na myśli badanie.

– Badanie? – zainteresowała się Luba. – To jeszcze cię boli ta głowa? Mówiłam, żebyś wzięła aspirynę.

– Co robi pani mąż? – spytała Kasia Zoję.

– Jest naukowcem, leksykografem, jak ja.

– Czy poza tym też leczy i cudotworzy?

– Nie. On jest za mało wrażliwy, żeby to robić.

– A jak to będzie ze światem?

– Zginie. Szkoda mi Paryża. Szkoda, że niedługo nic z niego nie zostanie.

– Kiedy? Wie pani?

– Wiem, ale nie powiem. Jeśli ma pani odrobinę wrażliwości, sama pani wyczuje.

– Wierzy pani w Boga? – spytała nagle Kasia.

– Naturalnie – odrzekła Zoja.

– A w reinkarnację?

– Wiem dokładnie, kim pani była i kim będzie.

– Ja też to wiem. Byłam psem.

– Nie mogła pani być psem.

– Czemu? A czym byłam?

– Nie mogę powiedzieć.

– A co pani może powiedzieć?

– To, że pani nie ma za grosz energii twórczej. A mnie ona aż rozpiera.

Podróż z Zoją zapowiadała się fascynująco. Kasia nie liczyła na takie atrakcje. Musieli zatrzymać się w korku przy wjeździe na autostradę. Zoja natychmiast wykorzystała to na sprawdzenie markiza. Wahadełko zdecydowanie wypowiedało się na tak.

– A co pani robi, jak się w pani zakocha? – wyszeptała Kasia.

– Kto? – spytała Zoja.

– Badany – odpowiedziała Kasia i wskazała palcem na plecy markiza.

– Nie jest w moim typie – powiedziała Zoja. – Ale tacy jak on szaleją za mną.

– No to będzie zabawa – ucieszyła się Kasia.

– Nie będzie, bo jestem skupiona na czymś innym.

– Na czym?

– Na remoncie mieszkania.

Kasia spojrzała na Zoję z podziwem. Nie wiadomo, jakie miała osiągnięcia jako leksykograf, ale wariatka z niej była wybitna.

– Wie pani, co to aerobik? – spytała Zoja.

– Chodzi pani o praktyki Jane Fondy? – upewniła się Kasia. – Słyszałam o tym.

– A uprawia pani?

– Rzadko – skłamała, bo nie uprawiała wcale.

– Wobec tego będziemy ćwiczyły razem. Muszę zrzucić cztery kilo.

– Kiedy będziemy ćwiczyły?

– Każdego dnia rano. Zgoda?

– Co robić, zgoda.

– Chce mi się spać – wyznał markiz. – Opowiedzcie coś panie albo zaśpiewajmy.

Kasia polubiła go natychmiast. Nie powiedział: „Niech pani zaśpiewa”, tylko „zaśpiewajmy”. Toteż od razu zaintonowała:

Quand trois poules vont aux champs

La première va devant

Le seconde va deuxième,

La troisième va dernière^{}.*

Podchwycił melodię i śpiewali wesoło w duecie. Ani Zoja, ani Luba nie znały na pamięć tego utworu. Potem zaśpiewali:

Aujourd'hui je vais danser

*sans culottes, sans chemise...^{**}*

Mieli mnóstwo wspólnego repertuaru. Śpiewali z zapalem, przekrzykując się nawzajem. Były berżeretki i różne przeboje. Okazało się, że Kasia zna więcej niż on zwrotek *Marsylianki*, a już zupełnie go pokonała, kiedy odśpiewała trzy zwrotki *Międzynarodówki* po francusku.

– Czy pani działa w naszej lewicy? – zapytał. – Skąd pani to wszystko umie?

– O nie, panie markizie, jestem kontra. A umiem tak sama z siebie, zawsze miałam pamięć do przebojów. Raz usłyszę jakiś *rengaine^{***}* i już go śpiewam. Taka jestem zdolna, od dziecka.

– Zdumiewające – roześmiał się.

Luba i Zoja też chciały się wykazać znajomością pieśni i zaczęły śpiewać po rosyjsku. Okazało się, naturalnie, że Kasia zna teksty lepiej od nich, choć one wyssały je z mlekiem matki.

Kiedy zatrzymali się w restauracji przy autostradzie, żeby zjeść śniadanie, byli już wszyscy na „ty”. Ale Kasię najbardziej z całego

towarzystwa fascynowała Zoja.

Po południu samochód wjechał na ziemie stanowiące dobra markiza Savignera. Poznać to można było po tym, że mężczyźni, kiedy go rozpoznawali, zdejmowali pośpiesznie czapki, uśmiechali się i mówili: *Bonjour monsieur Marquis*. On zaś odpowiadał: *Bonjour Poiret, Limac, Cherret* czy kto go tam pozdrawiał, i dodawał sakramentalne: *ça va?*, na co oni odpowiadali: – *Ça va, merci, et vous monsieur Marquis*^{****}.

Był dobrym panem, znał – jak widać – na pamięć nazwiska swoich poddanych.

Jechali wolno zieloną doliną. Z jednej strony ciągnęły się uprawne pola, z drugiej łąki pełne soczystej trawy, polnego kwiecia i zagapionych w przestrzeń wielkookich krów przeżuwających trawę. Wjechali na górkę i oczom ich ukazał się stary, sądząc ze stylu XI–XII-wieczny zamek o masywnej sylwetce, otoczony rozległym parkiem. Zatrzymali się na chwilę przed bramą. Markiz zamienił kilka słów przez okno z ubranym w granatowy uniform starym człowiekiem i wolniutko ruszyli w stronę *chateau*^{*****}. Przejechali obok zarośniętego szuwarami stawu, nad którym pochylały się stare topole i pinie o dziwacznie powyginanych pniach. Potem koło dużych, doskonale utrzymanych zabudowań gospodarczych, wozowni, stajni, oszklonej pomarańczarni, aż skręcili w paradną aleję przed wejściem frontowym. Aleja była przedzielona w środku kwietnym dywanem, a po bokach na trawnikach uwijali się robotnicy, którzy rozstawiali wywożone na wózkach z oranżerii i pomarańczarni drzewka cytrusowe w ogromnych, obitych drewnem donicach, tudzież palmy. Zaczynał się tu widać sezon letni. Wszystkie te krzewy, drzewa po zimowaniu w zamkniętych ogrodach wyjeżdżały na zewnątrz, żeby stanąć w równych rzędach po obu stronach alei, na trawnikach i uświetniać teren przed zamkiem.

Z pewnością staruszek strzegący bramy dał już znać służbie, że pan markiz się zbliża, bo wyszła im na powitanie. Przy podjeździe, przed ogromnymi rzeźbionymi drzwiami posesji stał cały służebny personel w schludnych ubraniach – mężczyźni mieli na sobie ciemne spodnie i białe koszule, zaś kobiety ciemne sukienki przepasane nieskazitelnie białymi fartuszkami i białe czepeczki na czubkach głów. Wszyscy uśmiechali się szeroko, kiedy *monsieur Marquis* wysiadł z samochodu i przywitał się z nimi. W tym czasie dwaj młodzi mężczyźni zbliżyli się do samochodu, pootwierali drzwi i poczekawszy, aż pozostałe osoby z niego wysiądą, opróżnili bagażnik. Właściciel przedstawił przywiezione panie służbie, która z szacunkiem pochyliła przed nimi głowy. Następnie otwarto drzwi wejściowe i zaproszono je do środka. Z mrocznej, kamiennej sieni powiało średniowieczem.

– Po południu oprowadzę panie po zamku – zapowiedział markiz. – Teraz mój majordomus pomoże paniom rozlokować się w pokojach.

Szli za starym, siwym panem w bordowym, nienagannie skrojonym żakiecie. Za nimi dreptały pokojówki, niosąc ich walizki. Szerokie i strome schody pokryte były wzorzystym kobiercem, przytwierdzonym po bokach do stopni mosiężnymi uchwytyami. Na ścianach nad nimi wisiały obrazy dawnych mistrzów. Na zakręcie schodów można było wziąć głęboki oddech, stojąc na podeście oświetlonym wysoko umieszczonym oknem z witrażem. Markiz i księżna zostali na pierwszym piętrze. Jej komnata była na początku korytarza, a gdy zniknęła w drzwiach do niej, on poszedł dalej i skrył się za wielkimi rzeźbionymi drzwiami.

Kasię i Zoję poprowadzono wyżej.

– Uoch! – zawołała Zoja, zaciągając z ruska. – Uszczypnij mnie Katiusza, bo nie uwierzę, że nie śnię...Uoch!!!

To drugie „uoch” wydała z siebie, bo tak gorliwie „Katusza” wykonała jej polecenie.

Trochę było Kasi nieswojo tykać bezpardonowo w drugim dniu znajomości natchnioną panią leksykograf, nie mówiąc już o markizie, ale nie było odwrotu. Zbratało ich wspólne śpiewanie w samochodzie, a wiadomo, że „nie zna granic ni kordonów pieśni zew”, trzeba więc było udawać, że razem świnie pasali.

Drugie piętro prezentowało się trochę mniej okazale niż pierwsze, ale i tak nie było powodów do narzekania. Wskazano im pokoje jeden obok drugiego. Zoja powstrzymała służbę przed wnoszeniem walizek, musiała bowiem sprawdzić przedtem, która komnata jest zdrowsza. Wyjęła z torby wahadełko i zaczęła badanie.

Odprowadzona zdumionym wzrokiem pokojówek, najpierw sprawdziła jedno i drugie łóżce, potem resztę mebli, a na koniec ich relacje ze swoją osobą. Pokojówki były karne i nie okazywały zniecierpliwienia, ale kiedy Kasia zobaczyła ich pytające spojrzenia, pośpieszyła z wyjaśnieniem:

– Ta pani spędziła pół życia w brygadach antyterrorystycznych w krajach Dalekiego Wschodu, stąd jej daleko posunięta ostrożność.

– Ale tutaj od lat nikt nie mieszkał – zapewniała pokojówka. – Po telefonie pana markiza z Paryża osobiście przygotowałam pokoje. Nikt poza mną nie miał do nich dostępu.

– Ktoś mógł wspiąć się po linie. Madame Zoja nie raz padła ofiarą zemsty przestępczych brygad.

– *Oh, mon Dieu!*^{*****} – westchnęła pokojówka. – Czy *monsieur Marquis* został o tym uprzedzony?

– Nie wiem. Proszę mu powiedzieć na wszelki wypadek.

Tymczasem „Lady Leksykograf” dała ręką znak, że zajmie obszerniejszy pokój, z marmurowym różowym kominkiem. Siłą rzeczy

„Katuszy” przypadł narożny, jak się zorientowała, mieszczący się w wieży. Był niewielki, miał kształt koła i dwa wąskie, gotyckie okratowane okna. Prawie całą przestrzeń zajmowało wielkie rzeźbione łóż z baldachimem. Rzeźby na jego rogach, przedstawiające głowy lwów i słoni, na długo zostały jej w pamięci i nie tylko, bo nosiła też przez parę tygodni na ciele sińce po zderzeniach z nimi. Była bowiem w przydzielonej jej komnacie ogromna dysproporcja między powierzchnią łóża a resztą przestrzeni mieszkalnej, co przy jej impulsywnym sposobie bycia nie ułatwiało swobody ruchów. Jednak z otworów wieży, do której ją wtrącono, miała cudowny widok. Z tej strony zamek był parokrotnie wyższy niż od frontu, bo wzniesiono go na szczycie wzgórza. W dole była fosa, a za nią jezioro i śliczny kościółek ocieniony starymi drzewami. Po jeziorze pływały łabędzie, a na zielonej trawie baraszkowały kozy. Pootwierała okna, bo mimo że wszystko lśniło tu czystością, czuło się zapach wilgoci, jak to w starych, grubych murach. W kącie za kotarą odkryła marmurowy brodzik i prysznic. Wzięła kąpiel i zaczęła szperać w walizce w poszukiwaniu szat godnych kasztelanki, bo dzinsy, w których tu przyjechała, wydawały się jej odzieniem niezbyt stosownym. Kiedy już oblekła się w jedwabie, upięła włosy w stylowy kok i narzuciła szal na ramiona, nadeszła pokojówka, która oznajmiła, że podano do stołu.

Zoja ubrana w czarne plisowane spodnie i kwiecistą szeroką bluzkę trzymała w ręku małą torebkę z siatki stalowej, z której wзираło nieodłączne wahadełko. „Katuszę” niezmiernie ucieszył ten widok, bo już wyobrażała sobie minę pana zamku, gdy jego gość zacznie badać swoją czarodziejską kulą świeżość podanych potraw.

Zeszły po schodach za pokojówką. Markiz i Princessa oczekiwali na nie przed wejściem do jadalni. Było to duże, prostokątne pomieszczenie wykończone ciemnym drewnem, z długimi rzeźbionymi kredensami

ciągnącymi się pod ścianami po obu stronach stołu. Przy dębowym stole z grubym lśniącym blatem z powodzeniem mogło zasiąść ponad dwudziestu biesiadników. Otaczały go ciężkie krzesła o wysokich, rzeźbionych podobnie jak kredensy oparciach. Nakryto na cztery osoby, przy czterech bokach stołu.

– Uoch! – westchnęła Zoja i zaraz znowu krzyknęła, odskakując od towarzyszki, bowiem ta jak pies Pawłowa zakodowała sobie odruch szczypania jej na hasło „uoch!”

Zjedli przystawkę składającą się z połówki awokado nadzianej sałatką z krewetek. Konwersowali z sobą, wymawiając wyraźnie słowa, żeby docierały na odległość.

Jak się można było spodziewać, Zoja wyjęła kulkę i zaczęła badanie potrawy. Próba wypadła pomyślnie. Już miała ją schować, kiedy markiz zatrzymał na niej wzrok.

Prędko spuścił oczy, opowiadając historię przebudowy komnaty, w której spożywali dary Boże.

– Co to za historia z tymi terrorystami? – zwrócił się nagle do Zoi. – Dzielna z ciebie kobieta.

– Z terrorystami? – spytała zaskoczona Zoja.

– No dobrze, dobrze. Chcesz zachować *incognito*, uszanujemy to.

– O czym wy mówicie? – odezwała się księżna. – O jakich znów terrorystach?

– Ja naprawdę nie wiem, co Marcel ma na myśli – usprawiedliwiała się Zoja.

– Dobrze, już dobrze. Powiedziałem, że nie nalegam. Kropka.

Zoja i Luba patrzyły zdumione jedna na drugą. Markiz Marcel utopił dyskretny wzrok w talerzu. Kasia pałaszowała z niewinną miną.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

* Wysły w pole kurki trzy
I gęsiego sobie szły.
Pierwsza przodem, w środku druga,
Trzecia z tyłu oczkiem mruga.

** Chcę dziś tańczyć
bez spodenek, bez koszulki...

*** przebój

**** Dzień dobry panie markizie.
Dzień dobry Poiret, Limac, Cherret... jak się masz?
Dziękuję, dobrze.

***** zamek

***** O, mój Boże!

Rozdział trzeci

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział czwarty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział piąty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział szósty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział siódmy

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział ósmy

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dziewiąty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dziesiąty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział jedenasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwunasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział trzynasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział czternasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział piętnasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział szesnasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział siedemnasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział osiemnasty

Dostępne w wersji pełnej